



Najpierw uziemiła nas pandemia covid, potem próbował wydłużyć ten okres Putin, ale wreszcie zaczęliśmy jeździć, latać, podróżować.

Najpierw my - geriatrycy... do Jordanii, do Indii Północnych, potem do Egiptu, aż wreszcie... zaczęły się przygotowania do 19. młodzieżowej wyprawy na subkontynent Kumara. 14 lipca zaczęła się wyprawa.

Wyjechaliśmy o 5tej spod Słowaka żegnani przez rodziców i przyjaciół. Do Krakowa dotarliśmy o 6tej, a potem zaczęły się loty, czuwanie w Stambule, kolejny lot, czyli dołot do Mumbaiu.

„Trochę tu ciepło i parno” zauważył Szot po wyjściu na „świeżyj wozduch”, czyli po opuszczeniu lotniska. „Będzie cieplej i parniej” wystękałam zmęczona długim lotem i brakiem snu.

Kumar i Grace załatwili taksówki, upchnęliśmy się w nich wraz z bagażami i pojechaliśmy do hotelu. Dojechaliśmy wszyscy.. uf... niestety, na pokoje musieliśmy poczekać do 13tej, więc najpierw drzemaliśmy gdziekolwiek, kadra na przykład na jednym łóżku, przykryta po brody kołdrą i czym się dało, bo zarządzający lokalem podkręcili klimę „na maksa”, pewnie chcąc nam przypomnieć jak cudnie jest w ojczyźnie wiosną. Brrrr.

Nasza, opiekunów, drzemka była krótka. Po 10tej ruszyliśmy do banku wymienić część uzbieranej przez młodych kasy, by opłacić przejazdy pociągami „w tę i nazad” po Indiach. W SBI nie było łatwo. Najpierw była kontrola czy nie wnosimy bomby zamiast kasy do wymiany, potem było pierwsze podejście do urzędnika. Spalony. Na drugi piętrze banku - drugie podejście. I znowu spalony, bo nie ten fachura do którego się zwróciliśmy był odpowiedzialny za wymianę pieniędzy. Na typa właściwego czekaliśmy chwilę, wygodnie siedząc na kanapie. I czekaliśmy... wreszcie przylazł. Złote druciane okulary sugerowały jasno, że nie z byle kim mamy do czynienia. Gość sprawdzał wszystko dwa razy, kazał wypisywać Kumarowi na odpowiednim druku numery wszystkich banknotów do wymiany, po czym podarł tę kartkę, oznajmiając, że jedna osoba nie może wymienić tak dużej kwoty i polecił podzielić pieniądze na nas troje i oczywiście na nowo pospisywać numery banknotów. Potem sprawdzał nasze paszporty, skanował paszporty, przeglądał wszystko dwa razy i w tak zwanym „międzyczasie” załatwiał innych petentów, ku zgrozie Dyr. Fabjańskiego. A potem typ w złotych brylach zaczął liczyć... raz, drugi, od nowa... kupkami... Każdą z kupek przeliczał dwa razy... potem tak samo liczył rupie, ale... zrobić przelew kasy za pociągi mogliśmy zrobić już u innego specjalisty wysokiej klasy. Spróbowaliśmy u jednego, który odesłał nas do koleżanki... trwało to ponad dwie godziny, drugie tyle zabrało kupno kart SIM, żeby rozdzielona „opieka” mogła mieć z sobą kontakt w trakcie wyprawy i wymiana pieniędzy dla wyprawowiczów. Wróciliśmy późnym popołudniem. Młodzi grzecznie odsypiali podróż w swoich pokojach. Obudziliśmy ich, żeby rozdać kieszonkowe przed pierwszą indyjską kolacją w pobliskiej knajpeczce. Oj, pojedliśmy...

Noc minęła spokojnie. MŁODYM minęła spokojnie, bo my - opiekunki odkryłyśmy, że klamka od wewnątrz naszego pokoju jakby się trochę urwała. I wieczorem nie było problemu. Zamknęliśmy się od wewnątrz na klucz i poszliśmy spać. Problem pojawił się o siódmej rano kiedy zapukał do drzwi pracownik hotelu, który przyniósł chleb na śniadanie (śniadanie robią sami uczestnicy wyprawy) i nie bardzo rozumiał dlaczego nie umiemy otworzyć drzwi. Problem powtórzył się półtorej godziny później kiedy trzeba było robić śniadanie, a my nie mogłyśmy wyjść z pokoju z tymi bochenkami. Wyzwolił nas Hornik. Filip Hornik. Zaalarmowałyśmy młodych wpisem na WhatsAppie.



Drugi dzień w Mumbaju był zdecydowanie ciekawszy dla wszystkich. Po porannych przygodach z klamką, zjedliśmy śniadanie i taksówkami ruszyliśmy pod Gate of India. Kilka fot i już wchodziliśmy na łódź płynącą na Elefantynę.

Elefantyna to mała wysepka, na której znajdują się grotty, a w nich świątynie hinduistyczne. Pierwsza, do której docierają turyści jest największa, najlepiej zachowana i pięknie ozdobiona płaskorzeźbami przedstawiającymi boga Śiwę. Miejsce robi wrażenie, ale spokój zwiedzania zakłócają wszędobylskie małpki, które może i mają urocze mordeczki, ale w tych mordeczkach ostre zęby, które szczerzą atakując każdego, kto według nich ma coś smacznego do zjedzenia lub wypicia. No i szybko przekonaliśmy się, że lepiej oddać bez walki smakołyk, colę czy limkę niż być pogryzionym i podrapanym. Miejscowi walczą z tą futrzaną bandyterią za pomocą proc lub grubych drągów. Kilkoro z nas, napadniętych podczas dopijania limki, bez zbędnym ceregieli oddało napoje, jedynie Łukasz zwany Szotem uciekał przed małpą z kubkiem sody w garści. I wygrał ten wyścig. Dodatkową atrakcją podczas wypadu na Elefantynę była krótka przejażdżka ciuchcią z portu, w którym zacumowaliśmy aż do miejsca, w którym zaczyna się wspinaczka do grot świątynnych.

Po około czterech godzinach wróciliśmy do Mumbaju i skierowaliśmy się do hotelu, a wieczorem na kolację. Ps. Klamki w drzwiach naszego hotelowego pokoju nie naprawili. Ostatniego dnia w Mumbaju z zatrzaśniętego pokoju wyzwolili nas po raz wtóry uczniowie.

W nocy zaczęło lać... ostatni dzień naszego pobytu w Mumbaju był deszczowy, pochmurny, mglisty i parny. Liczyliśmy, że słońce wyjrzy zza chmur, ale nie chciało. Śniadanie zrobili wyprawowicze. Tradycyjne zaserwowali kanapki z chleba tostowego, serków topionych, pasztetu z konserw, pomidorów, ogórków i zielonej papryki. Podczas śniadania młodzi pochwalili się nawiązanymi znajomościami i spotkaniem oko w oko, a dokładnie oko w ogon z pomieszkującym nielegalnie w pokoju chłopaków szcurkiem.

Ok.10.15, niezrażeni pogodą, wsiedliśmy do wynajętego busa i ruszyliśmy w miasto. Przewodnik zabrał nas na Marine Drive, do Muzeum Księcia Walii, do Mani Bhavan, czyli domu, w którym mieszkał Gandhi po powrocie z południowej Afryki. Widzieliśmy slumsy Dharavi, świątynię Ganessi, Dhobi Ghat, czyli dzielnicę pralni, no i oczywiście kolejowy dworzec Wiktorii, z którego ruszyliśmy pociągiem do Aurangabadu.